

Odkąd nasi protoplaści zaczęli zarządzać ziemiąmi w widłach Wisły i Sanu, minęły wieki. Ich potomkowie rozpiechli się po Sandomierszczyźnie, a niektórzy dotarli aż na skraj kontynentu. Okazało się bowiem, że mają predylekcje do wojaży i ekstremalnych przygód. Opisanie ich losów wymagałoby niemalże epepei. Nie brak wśród nich odkrywców, podróżników, ale i awanturników, których imiona można by odnaleźć w pitawalach Paryża czy Londynu. Nas zaintrygował tajemniczy mężczyzna o imieniu Melchior, którego zapamiętano przede wszystkim jako quasi-opiekuna pewnego artysty. Prawie że w okamgnieniu zawładnął jego wyobraźnią i wkrótce przejął nad nim kontrolę. Opowiadał mu przeróżne koszałki-opałki, przekonywał, że jego dzieła są warte co najmniej tyle, ile obrazy Leonarda da Vinci, jeśli nie więcej. Biedny malarz dwoił się i troił, kupował blejtramy, płótno, rozciągał je na ramach i, nie bacząc na marnotrawstwo materiałów, pracował. Machał pędzlem wzdłuż i wszerz obrazu. Niepodobna by było odmówić mu ambicji, lecz pożądał też sławy. Spod jego rąk wychodziły prace niby artystyczne, ale naprawdę nic niewarte. Spójrzmy na jedną z tych produkcji. W centrum obrazu widnieje jelen z olbrzymim porożem, wokół niego skupiło się stadko łań, w tle widać zagajnik brzoźek, zaś nieopodal wije się rzeczółka, w której nimfy zażywają kąpeli. Innym razem nieszczęśnik podjął temat historyczny i usiłował zobrazować żeglarza, który, opływając Słupy Heraklesa – bramę Morza Śródziemnego, wyrusza w bezkresną wędrówkę. Czteropółmiesięczna praca przy sztalugach kosztowała go trudu co niemiara. Zdarzało się, że półstojąc, pokrępiwszy się zaledwie jajem na półmiętko, szkicował, kładł farby, nie ustając w wysiłku ani w dzień, ani w nocy. Popatrzcież, jaki jest skutek jego pracy. Dawnośmy nie widzieli tak ohydneho bohomazu. Pośrodku dzieła, utrzymanego w konwencji pół fantastycznej, pół realistycznej, widać mężczyznę, którego burozielonobrazowe szaty przypominają chlamidę. Stoi on w łodzi, wsparłszy się na kosturze, a wokół niego towarzysze podróży ponurym wyrazem twarzy komunikują, że niechybnie czeka ich śmierć w topieli. Malarzowi zabrakło jednak talentu, a może kompetencji, albowiem fale morskie, podobne do grząskiej brei, jako żywo nie kojarzą się z wodą. Artysta powinien by jednak posłuchać dawnego kolegi, który perswadował mu, iż ma przy sobie nie przyjaciela, lecz hochsztaplera, jakim jest Melchior. Ale nadaremnie. Nie mądrze, tylko głupio postąpił. Poniewczasie pojął, że ten rzekomy opiekun to w istocie chuligan, hultaj i ladaco, że wykorzystał jego dobroduszość i naiwność. Trzeba bowiem być nie lada łotrem, aby tak zszargać własną reputację i sprowadzić innego na dno. Wkrótce po Melchiorze ślad zaginął. Rychłoli spotkała go sprawiedliwość? Niezadługo wziął udział w kolejnym przedsięwzięciu. Otóż chciał sfingować jakiś wypadek i po zheblowanych deskach zjechał wprost do lochu, gdzie, jak przypuszczał, zgromadzono precjoza. Szczęśliwie czy nieszczęśliwie dla siebie trafił do piwnicy, która okazała się lochem więziennym. Sfrunął niczym ptak wprost w objęcia Temidy. Warto by przypuszczać, że otrzyma to, na co zasłużył. A mógłby wieść honorowe, wypełnione rzetelnym trudem życie, jak jego pradziadowie. Czyżby więc ich wysiłki obróciły się wniwecz? Jednak historia spadkobiercy, który herboryzował, dowodzi, że trudzili się nienadaremnie. Ktoś zadośćuczynił tradycjom rodu.